

**MICHAŁ GŁOWIŃSKI**  
**(4 LISTOPADA 1934 – 29 WRZEŚNIA 2023)**

W poniedziałek 8 XII 2008 w warszawskim Domu Literatury profesor Michał Głowiński odbierał Nagrodę Polskiego PEN Clubu im. Jana Parandowskiego. Ówczesny prezes, Władysław Bartoszewski, powiedział wtedy: „Nagrodę tę uważamy za wyróżnienie szczególnej wagi”, podkreślił też odkrywczość prac Michała Głowińskiego o nowomowie, głęboką prawdę świadectw o Zagładzie oraz znaczący wkład w tradycję polskiej eseistyki i publicystyki. Miałem honor uczestniczyć we wspomnianym wydarzeniu. Wygłaszając laudację, skupiłem się na literaturoznawczym dorobku Profesora i na tym, jak ukształtował On moją biografię. Pozwolę sobie wrócić do słów wygłoszonych w Domu Literatury.

Doskonale pamiętam okoliczności, w jakich po raz pierwszy zetknąłem się osobiście z Michałem Głowińskim, zostały mi w pamięci różne szczegóły z tego dnia. Ale spotkanie, które wywarło na mnie największe wrażenie, nastąpiło jakieś dwa lata przed pamiętną wyprawą do Warszawy, a doszło do niego tam, gdzie mieszkałem i studiowałem. Nie było to zresztą pojedyncze spotkanie, tylko cała seria spotkań, którą sumiennie udokumentowałem w studenckich notatkach. Zanim poznałem Michała Głowińskiego i mogłem z Nim porozmawiać, przeczytałem Jego książkę *Powieść młodopolska*<sup>1</sup>. Nie dało się wypożyczyć jej do domu, bo uczelniana biblioteka dysponowała tylko jednym egzemplarzem, kserowanie nie wchodziło jeszcze w rachubę, pozostawało więc zamawiać tom do czytelnicy i spędzać godziny na lekturze i notowaniu. Robiłem to, rzecz jasna, wcześniej; w dusznym pomieszczeniu czytelnicy zasiadałem regularnie, czytając wszystko, co znajdowało się na liście lektur, a czego wynieść nie wolno było do domu. Zanim wypisałem pierwszy rewers z *Powieścią młodopolską*, miałem za sobą doświadczenia dwóch lat studiów: kilkanaście książek i pewnie gdzieś koło setki artykułów z różnych przedmiotów programu polonistycznego; znaczną ich część przeczytałem na miejscu, czyli w czytelnicy, której zatłoczenie i zaduch czyniły z niektórych seansów lekturowych przeżycie najdosłowniej bolesne. Nie mogę powiedzieć, że bym nie lubił tego miejsca, ale też skłamałbym, mówiąc, że za nim szczególnie tęsknię. Jeśli decydowałem się na kilkunastogodzinne przesiadywanie w czytelnicy i skrupulatne notowanie, to częściej kierowany poczuciem studenckiego obowiązku, o wiele rzadziej – wartością tego, co czytam.

---

<sup>1</sup> M. G ł o w i ń s k i, *Powieść młodopolska. Studium z poetyki historycznej*. Wrocław 1969. Wznowienie ukazało się jako tom 1 *Prac wybranych* M. G ł o w i ń s k i e g o (Red. R. N y c z. Kraków 1997). Dziś mam na półce obie te edycje.

Polonistyka w uczelni pedagogicznej rozpuszczała to, co było lub mogło być interesujące, w morzu lektur z przedmiotów dodatkowych, związanych z przyszłym zawodem absolwentów; w uczelnianej czytelnicy poznawałem więc rzeczy przeróżne, krótsze i dłuższe, ciekawe i – częściej niestety – przeraźliwie nudne. Kiedy dostałem *Powieść młodopolską* i przeliczyłem jej objętość na dni, jakie przyjdzie mi spędzić przy stoliku czytelnicy, nie byłem tym rachunkiem zachwycony. Nazwisko autora musiało już znać, lecz nie kojarzyłem go jeszcze z żadną książką; zacząłem czytać powodowany ambicją przykładowego studenta. Ale bardzo szybko zorientowałem się, że nie ambicja będzie kierować me kroki do czytelnicy, tylko szczere zaciekawienie. *Powieść młodopolską* przeczytałem od deski do deski – nie pamiętam, ile czasu mi to zajęło; pamiętam za to doskonale, że po raz pierwszy na studiach nie mogłem się doczekać dni, które pozwolą mi odwiedzić czytelnicy, że od stolika wstawałem ostatni i niechętnie, układając pośpiesznie plan na następne spotkanie z książką.

Gdybym miał wskazać jeden tytuł, który zadecydował o tym, co robię teraz, postawiłbym na *Powieść młodopolską*. Znam i cenię inne książki Michała Głowińskiego, od jakiegoś czasu czytam je na bieżąco, czyli w porządku ich powstawania; wiem, że *Powieść młodopolska* nie była debiutem, nie przeszkadza mi to jednak myśleć o niej jako o książce pierwszej i najważniejszej, prawdziwie przełomowej w mojej edukacji polonistycznej. Wielokrotnie wracałem do tej pozycji, zastanawiając się, dlaczego tak bardzo mnie poruszyła i zafascynowała. Dziś wydaje mi się, że jestem bliżej odpowiedzi; dopiero teraz, gdy moje doświadczenie lekturowe jest nieporównanie bogatsze niż studenckie, mogę powiedzieć więcej o książce, którą czytałem po raz pierwszy przed trzema dekadami, i o tym, jak na mnie wpłynęła. Kiedy skończyłem *Powieść młodopolską*, miałem nieodparte wrażenie, że tytułowy przedmiot leży przede mną na stoliku, że bezsprzecznie jest coś takiego, o czym książka Michała Głowińskiego powiadamia, i że to coś ma kształty bardzo wyraziste, w które czytane studium bezbłędnie trafia. Łapałem się później na tym, że po lekturze monografii myślę o polskiej powieści z przełomu wieków tak, jak o tym właśnie przeczytałem, że inaczej ani myśleć, ani mówić po prostu nie umiem. Chcę sformułować myśl na pozór banalną, ale w rzeczywistości sięgającą istoty doświadczenia lekturowego sprzed trzech dekad: narracja historycznoliteracka *Powieści młodopolskiej* była dla mnie głęboko przekonująca. Tak przekonująca, iż gotów byłem przysiąc, że gatunek jest bytem równie twardym co książka, w której o nim przeczytałem. To wrażenie twardości, solidnego zakotwiczenia kawałka gatunkowej przeszłości w obiektywnym świecie potęgowało się za każdym razem, gdy w pracach historyków literatury napotykałem odwołania do owego studium. Zatrzymam się chwilę nad nimi. Ich cechą wspólną jest to, że utwardzają one przedmiot, jaki wyłania się z narracji Michała Głowińskiego, dają gwarancję jego obiektywności. Ilekroć bowiem wypadało komuś wskazać na powieść modernistyczną, sprawę załatwiał adres bibliograficzny wycelowany w charakterystykę, jaką znałem z kart *Powieści młodopolskiej*. Oznacza to, że zaproponowany konstrukt pojęciowy zaczął żyć własnym życiem i że magma przeszłości literackiej zakrzepła w kształty, których obrys zaprojektował Michał Głowiński. Powtórzę: odesłania do powieści młodopolskiej, z jakimi się stykałem, kierowały się ku tej jej postaci, jaką przedstawił autor *Powieści młodopolskiej*. Nie miałem wątpliwości: słowo badacza stało się historycznoliterackim ciałem.

Dziś wiem, że moje wrażenie sprzed 30 lat mogę ująć inaczej, że pomoc może w tym współczesna teoria reprezentacji, zgodnie z którą narracja historyczna (a historycznoliteracka w szczególności) nie jest prostym nagromadzeniem pojedynczych konstatacji, lecz tworzy nierozkładalną całość, która nie opisuje jakiegoś fragmentu rzeczywistości zewnętrznej, tylko ten fragment reprezentuje, usiłując oddać mu sprawiedliwość. To, jak przekonująca jest to wizja, jak bardzo przedstawiany w niej przedmiot potrafi się usamodzielnic, odłączyć od słów, które go oplatają (a w istocie – wyznaczają), stanowi miarę powodzenia w przedsięwzięciu, jakiego podejmuje się historyk. Teorii reprezentacji, ledwie tu zasygnalizowanej, nie będę dalej rozwijał, chciałbym za to powiedzieć, iż jej swoiste potwierdzenie znaleźć można w polszczyźnie. W języku polskim mamy bowiem wyraz „rzecz”, przy którym słowniki notują dwa znaczenia. Pierwsze odnosi się do tego, co właśnie zostało powiedziane; to zatem „mowa”, „przemowa” lub inne odpowiedniki łacińskiego słowa „*oratio*”. Ale ten pierwotny sens dziś występuje rzadko, o wiele częściej sięga się po wyraz „rzecz”, gdy ma się na myśli fizyczny „przedmiot”, ekwiwalent łacińskiego „*res*”. Wspomniana dwuznaczność znakomicie pozwala scharakteryzować *Powieść młodopolską*. Jest ona „rzeczą” w podwójnym rozumieniu: sekwencją zdań, które opisują przeszłość gatunku powieściowego tak trafnie i przekonująco, że ów stan z przeszłości wydaje się realnością przedślovną, nie zaś tym, co historycznoliteracka narracja przedstawia. To przedstawienie dokonuje się przez całość rozprawy i dopiero po jej poznaniu ma się odczucie, iż słowa tak doskonale obrysowują kontury swojego przedmiotu, że narracja przedmiot ów może udanie zastępować.

Z *Powieści młodopolskiej* trudno mi było robić notatki; czułem się trochę tak, jakbym musiał streścić tekst literacki, przepisywałem więc całe zdania, a często długie akapity. Opór przed fragmentaryzacją uświadomił mi coś, co dziś rozumiem znacznie lepiej: profesja historycznoliteracka to nie tylko badanie i ustalanie faktów, to także i przede wszystkim pisarstwo, praca w języku, trud budowania narracji, których wartość nie bierze się wprost z tego, co wcześniej – i zwykle przez innych – zostało ustalone. Stawką w takich narracjach jest osiągnięcie efektu, którego doznałem jako czytelnik *Powieści młodopolskiej*: zamiana tego, co powiedziane (*oratio*), w przedmiot (*res*), który wydaje się tak realny, iż może posłużyć za najtwardsze odniesienie dla wypowiedzi innych badaczy przeszłości.

Po *Powieści młodopolskiej* rzuciłem się na pozostałe książki Michała Głowińskiego, chłonałem też artykuły i szkice, które bez trudu znajdowałem. Nie były one objęte listą lektur, ale nie miało to dla mnie znaczenia. Czytałem je dla przyjemności, dla satysfakcji, dla tego przeżycia, które utrwaliło się we mnie po lekturze *Powieści młodopolskiej*. Za każdym razem oczekiwałem powtórzenia efektu, jaki wywołała pamiętna książka. Chciałem na nowo przeżyć tajemniczy akt upostacowania słowa, urzeczowienia tego, co wcześniej rzeczą bynajmniej nie było. I nigdy w tej mierze nie spotykał mnie zawód.

Po 29 września nie umiem mówić i pisać o Profesorze inaczej jak tylko przez pryzmat spotkań z nim – rozmów i lektur, tym bardziej że spotkania te wypełniły znaczną część mego życia (ponad cztery dekady) i w największym stopniu ukształtowały moją profesjonalną dojrzałość. Zaraz po studenckiej lekturze *Powieści młodopolskiej* ruszyłem do miasta w poszukiwaniu innych książek. Znalazłem najpierw dwie: w antykwariacie przy głównej ulicy wyszukałem *Wiersze Bolesława Leśmia-*

na z serii „Biblioteka Analiz Literackich”, a w księgarni przy tej samej ulicy natrafiłem na świeżo wydany tom *Style odbioru*<sup>2</sup>. Po ubiegłorocznym remoncie zgromadziłem dorobek Profesora na dwóch sąsiadujących ze sobą półkach. Książki ustawiłem chronologicznie; całość zamykają *Tęgie głowy*<sup>3</sup>. Gdy posłałem Profesorowi którąś z moich prac, dostałem – jak zawsze – podziękowanie i zapowiedź, że *Tęgie głowy* szykowane są właśnie do druku i że będzie to Jego książka ostatnia. Po 29 września wiemy, że tak się niestety stało.

Cud substancjalizacji (urzeczowienia), o którym mówiłem przed laty w warszawskim Domu Literatury, dokonał się nie tylko w powieści młodopolskiej (powieści w mowie pozornie zależnej). Profesor powołał do życia co najmniej kilkanaście pojęć, które doskonale zadomowiły się w języku literaturoznawczym i które sprawiają nieodparte wrażenie, iż odpowiadają im twarde oraz wyraziste w kształtach, niezależne od języka byty. Przypomnę tu tylko kilka z nich: „parodia konstruktywna”, „niby-groteska”, „epifanie”, „mimetyzm formalny”, „monolog wypowiedziany”, „odbiorca wirtualny”, „małe narracje”, „socparnasizm”... Rejestr ten nie byłby kompletny, gdyby pominąć „nowomowę”, pożyczkę słowną wziętą z głośnego *Roku 1984* George’a Orwella. W polskich badaniach, za sprawą prac Profesora, urosła ona do rangi podstawowego narzędzia pozwalającego opisać język, który wytwarzała i upowszechniała peerelowska propaganda. Zainteresowaniu Michała Głowińskiego językiem i jego schorzeniami chciałbym teraz poświęcić parę słów.

Nie ulega dla mnie kwestii, że język znajdował się w centrum uwagi Profesora – jako przedmiot badań literaturoznawczych, jako obiekt refleksji językoznawczej, i wreszcie jako tworzywo dla wypowiedzi naukowych oraz narracji autobiograficznych. Michał Głowiński był mistrzem polszczyzny, osobą niesłychanie wrażliwą na kształt wypowiedzi i rozmaite przejawy psucia języka. W wywiadzie dla „Gazety Wyborczej”, który okazał się – niestety – drukowanym słowem ostatnim, powiedział: „Jeśli pisarz nie panuje w pełni nad językiem, wtedy nie może być wybitny. [...] bez swoistego języka nie ma wybitnej literatury”<sup>4</sup>. To uwrażliwienie na polszczyznę – oryginalną, wyrafinowaną i kreatywną – tłumaczyć może wybory, jakich Profesor dokonywał, poświęcając swe prace Bolesławowi Leśmianowi (od magisterium), Julianowi Tuwimowi (od doktoratu), Cyprianowi Norwidowi, poetom młodopolskim, Wacławowi Berentowi, Witoldowi Gombrowiczowi czy Mironowi Białoszewskiemu<sup>5</sup>. Język interesował Profesora także w użyciach pozaliterackich – jako narzędzie władzy i zniewolenia. Kiedy rozpocząłem seminarium doktorskie, Profesor przygotowywał do druku tom przekładów *Symbole i symbolika* (ukazał się on faktycznie ponad dekadę później), a na spotkaniach sporo mówił o schorzeniach języka i nowomowie. Okazji dostarczał gotowy już do wydania tom zbierający zagraniczne

<sup>2</sup> M. Głowiński: *Wiersze Bolesława Leśmiana. Interpretacje*. Warszawa 1972; *Style odbioru. Szkice o komunikacji literackiej*. Kraków 1977.

<sup>3</sup> M. Głowiński, *Tęgie głowy. 58 sylwetek humanistów*. Warszawa 2021.

<sup>4</sup> *Mam dystans pełen przynębienia*. Rozmowę z M. Głowińskim przeprowadził W. Szot. „Gazeta Wyborcza” 2023, nr z 8 IX, s. 21.

<sup>5</sup> M. Głowiński w wywiadzie udzielonym G. Wołowcowi (*Czas nieprzewidywany. Długa praca bez pana, wójta i plebana. Rozmowa-rzeka*. Warszawa 2018, s. 293) tłumaczył: „W przypadku Leśmiana kwestią podstawową jest jego język. Mnie język poetycki Leśmiana interesował szczególnie, dlatego że w tym języku dzieje się niezwykle dużo”.

studia socjolingwistyczne – *Język i społeczeństwo*<sup>6</sup>. Pamiętam, jak Profesor ostrożnie odnosił się do tezy, iż za zło świata ponosi odpowiedzialność zdeprawowany język. Ale w moich uszach wciąż pozostają przykłady tego, że język tracić może swą informatywność, stając się instrumentem żonglerki i pozorowania komunikacji<sup>7</sup>. Dzięki seminarium zetknąłem się z teorią aktów mowy i przeczytałem książeczkę Johna L. Austina (wtedy jeszcze nieprzetłumaczoną), uświadamiając sobie, jak bardzo wąła i problematyczna jest granica oddzielająca mówienie od działania. Seminaryjne spotkania wpoily nam, uczestnikom, odpowiedzialność za słowo. I uświadomiły, jak droga do ograniczania wolności bierze swój początek w monopolizowaniu komunikacji przez ośrodki władzy.

Profesor nigdy nie mówił o wolności w tonie filozoficznym i w trybie uogólnień (dlatego nie podzielał stanowiska, iż za zło świata odpowiada zepsucie języka). Nie mam dziś cienia wątpliwości, że wolność plasowała się wśród wartości, które cenil najwyżej, i że za taką hierarchią stało Jego osobiste doświadczenie cierpienia jako ofiary Holocaustu. O cenzurze (czyli ograniczaniu wolności słowa) mówiliśmy z Profesorem wielokrotnie. Jego pierwszą książkę o nowomowie poznałem dzięki Bibliotece Uniwersytetu Mikołaja Kopernika w Toruniu, której dyrekcja odważyła się gromadzić i udostępniać czytelnikom także to, co ukazywało się w wydawniczym podziemiu. Wolność miała dla Profesora komponent cielesny: objawiała się lękiem przed przestrzenią zamkniętą i nieprzezroczystą (zwłaszcza ciemną i zatłoczoną). Dopiero przeczytawszy *Czarne sezony* i inne tomy autobiograficzne, uświadomiłem sobie, co z wrażliwą psychiką robiły mury pruszkowskiego i warszawskiego getta, ciasna ziemianka pod Radziwiłłowem, ogrodzenie klasztoru Sióstr Służebniczek Najświętszej Marii Panny w Turkowicach<sup>8</sup>. W ostatnim wywiadzie dla „Gazety Wyborczej” Profesor mówił:

Jestem bardzo krytycznie nastawiony do obecnej władzy. To, co robią rządzący, to próby odbierania [...] wolności. Nie ma cenzury rozumianej jako instytucja – to trzeba docenić. Ale wciąż istnieje wiele obrzydliwych rzeczy<sup>9</sup>.

A uzasadniając surową ocenę z ostatniego zacytowanego tu zdania, przywoływał ataki pravicowych polityków i publicystów na Barbarę Engelking, wybitną polską

<sup>6</sup> *Symboli i symbolika*. Wybór, wstęp M. Głowiński. Warszawa 1990. – *Język i społeczeństwo*. Wybór, wstęp M. Głowiński. Warszawa 1980.

<sup>7</sup> Profesor uwrażliwiał nas, swoich seminarzystów, na wypowiedzi, których prawdziwość jest prostą pochodną znaczeń użytych w nim słów (logicy nazywają takie zdania analitycznymi). Wciąż w uszach mam Jego seminaryjny przykład: „Jan Kochanowski był ssakiem”. Prawda? Bezsportna! Tyle tylko, że wynika ona nie z referencyjności zdania, lecz wyłącznie ze znaczeń budujących je słów (jak w zdaniach „Trójkąt ma trzy boki” czy „Historyk pisze historię”). Ktoś, kto sięga po zdania analityczne, albo sam nie zna sensu słów, albo zakłada, że nie znają go jego odbiorcy, albo po prostu chce mówić dużo – za wszelką cenę. W potocznej polszczyźnie taka wypowiedź samozwrotna, odcinająca się od związków z pozasłowną rzeczywistością, wówczas (w latach osiemdziesiątych) była nazywana mową-trawą.

<sup>8</sup> Zob. M. Głowiński: *Czarne sezony*. Warszawa 1998; *Magdalenka z razowego chleba*. Kraków 2001; *Historia jednej topoli i inne opowieści*. Kraków 2003; *Kładka nad czasem. Obrazki z Miasteczka*. Kraków 2006.

<sup>9</sup> *Mam dystans pełen przugnębienia*, s. 21.

badaczkę Holocaustu. Nagonką na Agnieszkę Holland nie mógł już swej oceny ugruntować.

Trudno mi dziś myśleć, że nie spotkam się więcej z Profesorem. Był człowiekiem wybitnym, a rysował się tak nie tylko w moich oczach. Żegnając go, celowo oddaję tę wielkość w sposób, w jaki przedstawia się ona z prywatnej, mocno subiektywnej perspektywy. Opisanie dorobku Profesora i wnikliwa analiza Jego dokonania to zadanie, z którym powinien się zmierzyć legion humanistów: literaturoznawców, językoznawców, kulturoznawców, historyków, psychologów społecznych, socjologów... Bo humanistyka polska nie pozostanie już tym, czym była przed 29 września. Nieobecność Profesora odczuwać będziemy boleśnie i bardzo długo.

Zacząłem tę pożegnalną wypowiedź od przypomnienia mojego pierwszego spotkania z Profesorem. Kilkakrotnie dowiadywałem się o Jego przecuciu końca. O *Tęgich głowach* przeczytałem w liście, że to książka ostatnia. Gdy w 2018 roku Profesor przybył do Bydgoszczy, by odebrać tytuł doktora honorowego mojej uczelni, o Pawle Ramsie, który Mu towarzyszył, usłyszałem, że to doktorant ostatni. Na wszystkie moje listy Profesor odpowiadał. Na prośbę o spotkanie, którą wysłałem w połowie września, odpowiedział jednak nie On, lecz Paweł Rams, dzieląc się ze mną szczegółami tragedii sprzed trzech miesięcy. Otworzyłem wtedy tom małych narracji, pamiętając, że znajdę tam szkice z cyklu *O starości*. Jeszcze raz przeczytałem *Przestrzenie*. Szkic powstał ponad ćwierć wieku temu. Mówi o tym, jak świat się przed każdym powoli, acz nieuchronnie zamyka. Dziś czytam go jako tekst autobiograficzny, w którym wszyscy znający ostatnie tygodnie Profesora rozpoznają Jego postać. Przejmującą aktualność słów oddać może tylko przytoczenie szkicu w całości:

Najpierw ci się roi, że cały świat należy do ciebie, wszędzie możesz pójść lub pojechać, a przestrzeń, nawet gdy stawia przed tobą przeszkody, gdy jest realnie niedostępna, potencjalnie wydaje ci się do pokonania. A jeśli w jakies regiony trudne czy odległe nie możesz się udać (rzeczywistość nie stoi przed tobą otworem!), to przynajmniej masz dane, by zapanować nad nimi w wyobraźni. Nagle jednak zdajesz sobie sprawę, że pewne miejsca nie są już dla ciebie, położone zbyt wysoko lub zbyt daleko, wymagałyby wysiłku ponad siły. Twój świat się kurczy, choć nadal jest rozległy, bo bez kłopotów możesz się poruszać przynajmniej po swej małej ojczyźnie, czy będzie to miasto i okolica, czy też rodzinna wioska i jej przyległości. Ale i to nie jest faza ostatnia: w pewnym momencie zauważasz, że nie jesteś już w stanie udać się na drugi kraniec miasta, by odwiedzić przyjaciół czy załatwić sprawę w stosownym urzędzie. I znowu świat twój radykalnie się zmniejsza, staje się przestrzenią zamkniętą, ograniczoną do mieszkania. Poruszasz się po nim swobodnie, wydaje ci się, że nad tą przestrzenią, wprawdzie małą, ale własną, nie utracisz nigdy dominacji. Ale w pewnej chwili orientujesz się, że przejście trzech metrów, dzielących twój tapczan od łazienki, stawia przed tobą zadania, którym sprostać nie możesz. Twoją przestrzenią staje się powierzchnia łóżka. W ostatnich momentach – jeśli jesteś przytomny, to o tym wiesz – przewrócenie się na drugi bok, a więc przesunięcie granic twojego świata choćby o kilka centymetrów, wymaga pomocy. A potem...<sup>10</sup>

Wojciech Tomasił

Uniwersytet Kazimierza Wielkiego, Bydgoszcz

<sup>10</sup> M. Głowiński, *Przestrzenie*. W: *Przywidzenia i figury. Małe szkice 1977–1997*. Kraków 1998, s. 100. Szkic ma dedykację: „Pamięci Rodziców”. Profesor spoczął obok swoich rodziców.

Rola Michała Głowińskiego w „Pamiętniku Literackim” była i jest nie do przecenienia. Nie tylko dzięki rewelacyjnie prowadzonemu działowi przekładów naukowych i też nie tylko dlatego, że publikował tutaj niektóre ze swoich znakomitych rozpraw. Można powiedzieć bez przesady, że stanowił przez dziesiątki lat główny filar redakcji, uosabiając *axis mundi* naszego „Pamiętnikowego” świata. Strzegł poziomu pisma, zwracał uwagę na niekorzystne tendencje w humanistyce, trochę się bronił przed napływem poststrukturalistycznych idei, psychoanalizy, drastycznego wychylania się poza granice dyscypliny. Ale nigdy nie przechodził obojętnie wobec prac wybitnych, nawet jeśli realizowały inny kierunek badań niż jego własny. W takich sytuacjach stosunkowo łatwo zmieniał zdanie, przychylając się do zasadności podjęcia nowych tropów. Był promotorem tego, co jakościowo dobre, obiecujące. W ogóle trudno powiedzieć, że bliskie mu były precyzyjnie określone metody czy stanowiska, cenił raczej ludzi i ich konkretne prace. Cenił też postawy – opozycyjne wobec totalitarnej lub opresyjnej władzy, niekonformistyczne. Sam im hołdował. Ale tu znowu decydował czynnik ludzki; Michał rozumiał uwikłania w system, jednak nie wszystkim udzielał rozgrzeszenia za wybory życiowe. Nie zdziwił mnie skrajne oceny, jakie wywoła jego tolerancja albo – w innych oczach – jej brak. Był w tej sprawie niekonsekwentny. I być może właśnie na tej niekonsekwencji należałoby się skupić.

Zachował w pamięci rozmaite historie i historyjki z dziejów kwartalnika i wojennego literaturoznawstwa, dzielił się nimi, uczestniczył prawie do końca swych dni w życiu bieżącym redakcji, jego zaś długie współbycie z nami stanowiło rękojmię poziomu i rangi pisma także w przyszłości. Oglądając spis treści przygotowywanego zeszytu, zadawał wiele pytań, które odsłaniały nieprzemysłane elementy tytułu rozprawy, a bywało, że nawet jakieś błędy. Z reguły narzekał na słabo funkcjonujący dział recenzji, który nie zapewniał kompetentnego przeglądu najważniejszych publikacji literaturoznawczych. Tłumaczenia przyjmował, chyba że dotyczyły kwestii ściśle formalnych, punktowych lub finansowych, które traktował jako poboczne, ale do tematu wracał, oczekując rozwiązania problemu. Przeglądając tekę redakcyjną, zauważał teksty długo leżące i domagał się wypuszczenia ich w świat. Czasami upominał się o szybszą publikację artykułów, które recenzował i wysoko cenił. Był szczodry w pochwałach i przekonujący w formułowaniu sądów krytycznych, których też nie szczędził. Może nie wszyscy odczuwali jego obecność w taki właśnie sposób, ale ja poddawałam się zarówno jego merytorycznej opiece, jak i surowej krytyce. I chociaż moje *ego* broniło się nieśmiało przed jednym i drugim, ostatecznie ulegałam opiniom Michała i brałam je głęboko do serca.

Chyba o tym nie wiedział. Albo wiedział, ale bez wnikania w szczegóły. Miał bowiem własną miarę zaangażowania, zainteresowania i uważności. Odbierał świat falami; bywał ożywiony, dowcipny, radosny, przyjacielski, może nawet kumpelski. Często zdarzało się jednak, że ta górna fala, ślizgająca się łagodnie po tafli redakcyjnych rozmów, gdzieś zniknęła. Horyzont zaciemniał się albo nieruchomiał. Michał odpływał, milknął, zapadał się w siebie. Podnosił na nas oczy szeroko otwarte, ale niewidzące, patrzące z innego świata w inny świat. Wtedy szeleściliśmy papierami,

robiliśmy zdawkowe uwagi, rozmawialiśmy szeptem z najbliższym sąsiadem. I czekaliśmy, aż wróci.

Grażyna Borkowska

Instytut Badań Literackich PAN, Warszawa

Kiedy na okładce „Tekstów Drugich” zobaczyłam zapowiedź artykułu Michała Głowińskiego *Inspiratorzy*, nie przeczytałam podtytułu i wyobraziłam sobie temat, jakim mogła być rola tych uczonych humanistów, których dzieła naprawdę inspirowały innych. Podtytuł szkicu opublikowanego w roku 2000 brzmiał oczywiście: *Spiskowa kategoryzacja świata w okresie marcowym*. Temat był ważny z powodów zarówno historycznych, jak ponadczasowych: ukazywał mechanizm odbierania słowom ich rzeczywistych znaczeń. Mimo to pozostało we mnie wyobrażenie potencjalnie istniejącego tekstu o XX-wiecznych inspiratorach.

Gdy przyszła wiadomość o śmierci Michała Głowińskiego, uderzyła mnie oczywista myśl: to on był prawdziwym inspiratorem w humanistyce, i nie da się go w tej roli zastąpić. Jedność jego bogatego dorobku naukowego i pisarskiego kryła się także w tym, że mówił prawdę, a odczytując słowa użyte w złej wierze, docierał do ich istoty. W tym, co pisał, była potężna i bezbronna siła prawdomówności, która – chcemy, żeby tak było – zawsze ostatecznie zwycięża.

Michał Głowiński nie był moim nauczycielem w ścisłym znaczeniu, ale miałam okazję, żeby podziękować mu za to, co mu zawdzięczam, za książki (zwłaszcza za *Ekspresję i empatię* oraz *Zaświat przedstawiony*), za bezinteresowność i wspaniałomyślność. Był inspirujący dla bardzo wielu niepodobnych do siebie osób z różnych pokoleń, nie tylko w intelektualnym, lecz – znacznie szerzej – w osobistym i zwłaszcza w twórczym sensie.

*Inspiratorzy* – artykuł, wybrany na zasadzie *pars pro toto* z rozległego dorobku, przedstawia, jak notowane przez Lindego i pozytywnie nacechowane słowo zmieniono w propagandowe narzędzie, mające odizolować tych, którzy myślą samodzielnie. Głowiński obserwował pojawiające się w XXI wieku kolejne teorie spiskowe, o których napisał, iż są równocześnie niezwykle i banalne; nic nie wskazuje na to, że przestaną się pojawiać.

„Inspiracja”, „natchnienie” ma etymologiczny związek z „wdechem” (*inspiratio*) z „oddychaniem” (*spiro, spirare*) – łączy się w naturalny sposób z „oddechem”, „tchnieniem”, „powiewem”, z tym, co żywe, z duchem. Dla literatury i kultury, dla nauk humanistycznych i społecznych Michał Głowiński był i pozostanie jednym z wielkich inspiratorów.

Anna Czabanowska-Wróbel

Uniwersytet Jagielloński, Kraków



Czy to śmierć się tak dymi w zdybanym bezkresie?  
Tak, to – ona! Tak – ona! Bo tak właśnie zwie się.  
Tehu w piersi brak!...  
Trzeba przemknąć pomiędzy śmiercią a pokrzywa...  
Cisak w nicość się gęstwi pogmatwaną grzywa,  
Jak lotny krzak!

(Bolesław Leśmian, *Wiersz konny*)

Szanowny, Drogi Panie Profesorze!

szukam słów, by się pożegnać i wyrazić to, czego nie zdążyłam powiedzieć w trakcie niby przelotnych, a jakże ważnych dla mnie spotkań, czy to w Redakcji „Pamiętnika”, podczas konferencji, czy też przy innych akademickich okazjach. Wolałam wtedy słuchać i podglądać, uczyć się i czerpać inspiracje, niż opowiadać. Takich momentów było wiele, ale wspomnę tylko o trzech spotkaniach, zdradzając przy okazji, czego się od Pana Profesora nauczyłam.

Spotkanie pierwsze (licealne): jest rok 1984, wiosna, centralny etap Olimpiady Literatury i Języka Polskiego. Trafiam przed oblicze komisji egzaminacyjnej, stremowana i niepewna swego. Przede mną kilka budzących respekt twarzy, trochę już zmęczonych i znużonych długim dniem. Pada pytanie o koncepcję języka poetyckiego według strukturalistów. Zaczynam fatalnie, w pierwszym zdaniu przekraczając wymowę nazwiska Ferdinanda de Saussure’a. Oblicza przesłuchujących zdradzają zniecierpliwienie, ja zaś wślizguję się w skorupę młodzieńczej nieśmiałości. Nie powiem już ani słowa. Profesor Głowiński zwraca się jednak ku mnie z łagodnym uśmiechem, prosząc bym mówiła dalej, a z całej jego postaci emanują życzliwość i autentyczne zainteresowanie dla wiedzy młodej, dopiero przyszłej polonistki. Tę scenę przypominałam sobie później wielokrotnie i powielalam w praktyce dydaktycznej: studenci się otwierali i rozwijali skrzydła.

Spotkanie drugie (czytelnicze): jestem na drugim roku poznańskiej polonistyki. Sięgam po *Zaświat przedstawiony* i daję się poprowadzić – jak podpowiada tytuł jednego z rozdziałów – „od poznania do epifanii”: od szczegółowego opisu poetyki do olśnienia wizją świata i człowieka, widoczną w wierszach Leśmiana. Utwory wcześniej podziwiane, teraz – dzięki opowieści pana Profesora – stają się bliskie i własne. Już wiem, że chciałabym tak pisać o literaturze. Naśladować poruszającą umiejętność obserwacji pojedynczego chwytu poetyki i ich konstelacji w potrójnej perspektywie: językowego zabiegu, stylistycznej cechy idiolektu autora oraz – to najistotniejsze – formy aktywnego poznania interpretacji i ustanawiania rzeczywistości. Profesor Głowiński dał mi ważną lekcję, jak prowadzić równoczesną obserwację trzech wymiarów tekstu: semantycznego, semajologicznego i hermeneutycznego, jak łączyć kompetencje lingwistyczne z retorycznymi i kulturowymi.

Spotkanie trzecie (traumatyczne): są lata dziewięćdziesiąte ubiegłego wieku, spotykamy się z Panem Profesorem w hotelu, w przeddzień posiedzenia Rady Wydziału, w której uczestniczymy jako recenzenci w postępowaniu habilitacyjnym. Trzeba wjechać na wysokie piętro. Pan Profesor przeprasza, że nie będzie mi towarzyszyć w windzie, lecz pójdzie schodami. Wyraz jego twarzy podpowiada mi, aby

o nic nie pytać. Wspinamy się razem, a ja czuję się dopuszczona do tajemnicy życia. Niewiele później czytam *Magdalenkę z razowego chleba* i wiem, że pokonać traumę daje się także dzięki małym gestom, które możemy sobie nawzajem ofiarowywać. To one czynią „przestrzeń zapamiętana” łatwiejszą do zniesienia, bo dzieloną z innymi. Podczas wspólnej wspinaczki po schodach Profesor Głowiński zaprosił mnie do swojego życia. Dziękuję! Dziękuję!

Agata Stankowska

Uniwersytet im. Adama Mickiewicza, Poznań

---

Nikt nie zna dróg do potomności,  
Jedno – po samodzielnych bojach;  
Wszakże w świątyni jej nie gości  
W tych, które on wybrał, pokojach.  
(Cyprian Norwid, *Laur dojrzały*)

Profesora Michała Głowińskiego poznałem przed wieloma laty, kiedy został recenzentem napisanej przeze mnie pracy doktorskiej poświęconej twórczości Cypriana Norwida. Później ponownie był recenzentem mojej habilitacji. Obowiązujące wtedy przepisy nie zabraniały wielokrotnego recenzowania dorobku tej samej osoby, dzięki czemu Profesor Głowiński mógł ocenić moje postępy w rozwoju naukowym od czasu doktoratu. Badania Profesora nad językiem poetyckim autora *Vade-mecum* stały się dla mnie wielką inspiracją.

W latach następnych nasze drogi przecinały się, i to nie jedynie ze względu na wspólne zainteresowanie Norwidem. Michał Głowiński chętnie uczestniczył w inicjatywach naukowych poznańskiego środowiska badaczy romantyzmu, któremu przewodziła Zofia Trojanowiczowa. Obdarował nas swoją przyjaźnią, urzekał przy tym nie tylko erudycją i sławą wielkiego badacza, ale także wszechstronnością zainteresowań.

Napisano o Wacławie Borowym, że był utajonym artystą pióra. Michał Głowiński zdecydował się na odtajnienie swej pisarskiej wrażliwości, publikując w dojrzałym już wieku autobiograficzne eseje i opowiadania, które poruszały nas obrazem świata po Holocauście. W prozie Michała Głowińskiego o powojennej codzienności w Polsce odnajdywałem to samo zainteresowanie, z jakim pytał nas – swoich znajomych i przyjaciół – o najwyklesze sprawy. A przecież także o ważne wydarzenia z okresu ustrojowej przemiany Polski, które były na ustach wszystkich. Chciał poznać nasze zdanie i porównać ze swoim sposobem odczuwania i myślenia. Ciekawość, nieodparta i nieustająca ciekawość z uderzająco życzliwym podejściem do drugiego człowieka była cechą jego życiowej postawy.

Kiedy przed trzema laty zawiadomiłem Komitet Redakcyjny „Pamiętnika Literackiego”, że w Poznaniu zmarł mój rówieśnik prof. Dariusz Maleszyński, Michał Głowiński zareagował natychmiast, pytając mnie, w odręcznie napisanym liście, o przyczynę tego nagłego odejścia kolegi, z którym się zetknął w przeszłości. Chciał koniecznie odtworzyć brakujące wiadomości o kolejach jego życia. Szczegóły, które zapamiętał i przytaczał, układały się w jakiś rodzaj opowiadania o młodym, dobrze

zapowiadającym się niegdyś badaczu literatury staropolskiej. Kończył swój list słowami: „Co u Ciebie słyhać? Jak się miewasz w okresie pandemii? Jeśli o mnie chodzi, to staram się jakoś trzymać, mimo że czas z różnych powodów mamy ponury”.

Wiadomość o śmierci Michała zaskoczyła mnie, choć wiedziałem, w jak ciężkim jest stanie. Sądziłem jednak, że etap poszpitalnej rehabilitacji w Konstancinie zapowiada przesilenie i powrót do zdrowia. Tak się jednak nie stało.

*Krzysztof Trybuś*

Uniwersytet im. Adama Mickiewicza, Poznań